

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 24 Numeru: *P. W. Listy pisane do żony z podróży po kraju z roku 1840. — Krótki rys Literatury Warszawskiej od r. 1831. do dziś dnia. — Nowiny Literackie ze Lwowa.*

P. W. LISTY

pisane do żony z podróży po kraju z r. 1840.

(Ciąg dalszy).

Bardzo żałuję, żeś mi nie przysłała listu Kremera; kontent jestem z tego, że wyjechał do Monachium, bo mu potrzeba i wytchnienia po tak ciężkiej pracy, i odświeżenia myśli, do czego widok tych nowych Aten posłuży wybornie. Widzenie pięknego zbioru starożytności lub galerij, i rozmówienie się z kilku ludźmi, którzy się temu poświęcają, więcej jest warto od stu książek najlepszych, estetycznej treści. Nieraz mówimy z Łobażewskim o tem, co za szkoda tego czasu, któryśmy stracili na czytaniu opisów kraju naszego. Gdyby ten czas obrócić na podróż było można, bylibyśmy prędzej przyszli do tego przekonania, iż zaledwo parę jest takich opisów kraju naszego, który czytać warto. — Szczęściem pozostanie wiecznie człowiek, i natura pierwotnym wzorem dla badacza, i tak widzę się z Kremerem znowu na jednej drodze,

bo on pojechał do Monachium, a ja jestem w górach. Niczego nie pragnę, jak, żebym żył, kiedy się nasz Wiciuś uczyć zacznie nauk przyrodzonych, bobym go wziął w podróż z sobą, i wyłożyłbym mu z tej książki to, czego się z drukowanych książek człowiek nigdy nie nauczy nie zupełnie. Największe prawdy w życiu były mówione — i człowiek nie rodzi się z piórem w ręku, ale z językiem w gębie.

LIST IX.

Podróż idzie nam bardzo pomyślnie, Jaś i barometr statkuje, siwki są zdrowe i Franek trzyma się rzeżwo. Od dwóch dni spuściliśmy się znowu z gór, udawszy się niebawem na polacie Świcy. W Stryju zastałem dziś twoje listy i bardzom szczęśliwy z tego, żeście zdrowi i że mnie kochacie. Jasia trzymają się pustoty. Wszędzie gdzie się tylko zatrzymamy, wypytują nas się ludzie, zaczem my jeździmy? i co my robimy? Jaś mistyfikuje żydów i powiada, pokazując im barometr na trójnogu, że ten instrument ściąga pioruny, i żeby ostrożni

byli, bo kto wie, czy piorun nie trzaśnie, jak wyjedziem z karczmy. Wczoraj przypatrywało się nam długo dwóch pijanych ludzi, i jeden zapytał drugiego, co też oni robią? za czem oni jeżdżą? A drugi odpowiedział mu na to: „ot szukają czego nie zgubili,“ chociaż mnie się zdaje, że my właśnie tego szukamy, cośmy zgubili. Dziś popasaliśmy w południe razem w jednej karczmie z kapitalnym tłustym szlachcicem. Ten wypytując nas długo: co robimy? za czem jeździmy? kto nam to robić kazał, i dla kogo to się ma przydać? — opowiedział nam w końcu dykteryjkę: Mości Dobrodzieje, a juścić zapewne na coś to się przydać musi, co Waćpanowie tu robicie, bo co tylko człowiek robi, to mu się bardzo ważnem zdaje, chociaż ci, co po nim idą, inaczej rozumieją o tej rzeczy. W naszej tu np. okolicy żyje Pan Kasztelanic; dziad jego mieszkał w dużym starym dworze na baszcie i kochał się w sadach, w stawach, w piwnicy i w stadzie, krokiem nie ruszył się z domu przez całe życie, wiecznie miał gości u siebie, pił i polował z sąsiady. Miał syna jednaka, i udał mu się syn mądry, co lubił ogrody i książki. Zmarnował tedy odwieczne piwnice, sprzedał stado, pospuszczał stawy, porobił kanały i klomby, wyciął sad, rozwalił dwór, a postawił pałac, sprowadzał planty i książki z za morza — wszystko poszło gładko, ale udała mu się żona wielka pani, grymasna i chora, ledwo że ukończył wszystko, jedź za granicę. Po leciech 10ciu sprzedał rządca klucz jeden i drugi i trzeci, i pałac spustoszał, książki rozkradziono, drogie planty zginęły, a possesor wyciął klomby. Szczęściem pomarli oboje za granicą, syn ich Pan Kasztelanic udał się głupi, choć po mądrym ojcu, nie ma ani ładu, ani składu w głowie, traci ciągle jeszcze majątek, choć niewiedzieć na co, jednak powiada, że miał głupiego dziada i ojca, co mu stracili fortunę. Nie zostało się tedy nic z tego wszystkiego, co z kolei było, ani stada, ani sada, ani domu, ani łomu, ani książek, ani klombów, mało co for-

tuny a rozumu nie wiele. To rzekłszy siadł na bryczkę i pojechał, a sens moralny z tej bajeczki, zostawił nam do rozwiązania.

Gdyśmy się z gór znowu ku dolinie Dniestru spuszczała, namówił mnie Łobażewski, żebyśmy wstąpili do jednego z jego znajomych, obiecując spokojny i wygodny nocleg w domu kawalerskim, po tylu dniach trudu. Zajeżdżamy przed ganek późno już wieczorem, a tu na dziedzińcu mnóstwo koni i powozów, szumno i dworno. Dom oświecony, na ganku światła i panowie z lulkami, w pokojach damy i muzyka, herbata i francuszczyzna. Poszło nam tedy z deszczu pod rynnę. Nieszczęściem były to imieniny gospodarza, kuzynki jego zjechały z całem sąsiedztwem na solinizacyą. Utrudzoną tedy podróżą, potrzeba się było jeszcze przebierać pod noc, kłaniać się i być grzecznym dla pań, wytłómaczyć się z celu podróży i nie spać noc całą, bo bankiet przewlókł się do rana. Tamto miałem sposobność usłyszeć od kilku panów zdanie jakie mają o zoologu Piotruskiem. To dziwak nie żyje z ludźmi, siedzi tylko w książkach, niema z niego pożytku w sąsiedztwie; a poważny szlachcic dodał: „proszę też Asana Dobrodzieja, czy też to przystało na uczciwe obywatelskie dziecko, żeby się bawić, jak bocian gadami, albo niedźwiedzie chodować, jak jaki leśniczy, żeby to się jaki aptekarz, albo doktor tem trudnił, tobym się niedziwił, ale dla P. Piotruskiego to nieprzystoi.“ Przekładałem im, że to jest bardzo znakomity i uczony człowiek. „Nie wierz Asan Dobrodziej temu,“ mówił mi ów opasły szlachcic — „my go znamy lepiej, wszakże się tu wychował w naszym sąsiedztwie.“ — Zdania te jakkolwiek pocieszne, przejęły mnie smutkiem, bo widzę w tem, jak łatwo jest być zapoznanym, i czyż można mieć za złe, jeżeli człowiek który dla umiejętności żyje, niepojęty od tych, którzy go otaczają, nieznajdując w kraju ogniska dla swej umiejętności, cudzym bogom składa ofiary i łączy się z naukowym światem za granicą, gdzie jego pracę

i naukę ocenić umięła, i gdzie przynajmniej pośrednio, jeżeli już niewprost może służyć krajowi i oświacie powszechniej.

LIST X.

Bawimy teraz w okolicy, doliny w Welsdżu na porzeczu Swicy i ztąd udamy się działem granicznym, aż do źródeł Łomnicy. Poznałem tu Pana Matkowskiego, który tu leśne posiada dobra, i założył w nich huty żelazne. — Przed kilkadziesiąt laty, kiedy tu osiadł Pan Matkowski, była ta okolica jeszcze górszą pustynią, on pierwszy przeciął tu lasy, założył dwór, porobił gościńce, wyprawił rzeki do spławu, sprowadził osadników i ludzi przemysłnych, wydobył rudy i ożywił całą okolicę. Jakoż praca jego nagrodziła się, i dziś znalazło się towarzystwo hutników polskich, które wzięwszy od niego dobra w dzierżawę, postawiło ten zakład na wysokim stopniu. Na miejscu dawnych szop drewnianych, wznosił się pałacyk, są tu wielkie piece, cylindrowe miechy żelazne, tokarnie i walcownie — wszystko to wprawia w ruch woda bystrzej Swicy, a całym zakładem kierują ludzie wyćwiczeni w szkole polskiego górnictwa. Pan Matkowski darował mi zbiór polskich medalów, które białe kazał Stanisław August, i po leciech tyłu ujrzałem znowu w żelazie te same twarze, które niegdyś w złocie białe widziałem w Wilnie, w zbiorze uniwersyteckim, dokąd się dostały po śmierci Czackiego z Krzemienia. Medale te są wybornie odlane, ale tamte były złote, własnością niegdyś samego króla, po którym nabył Czacki ten zbiór, i były złożone w ozdobnych pularach, z amarantowego aksamitu; te są żelazne i mieszczą się w jaworowej skrzynce. Miło jest jednak pomyśleć, że te jawory wzrosły nad Swicą, a to żelazo jest z rudy miejscowej dobyte w okolicy, która niedawno jeszcze nieprzystępna ludziom była. Pan Matkowski udzielił mi także dokładnej karty całej tej okolicy, którą sam zrobić kazał. A z tej to karty i z wielu podobnych,

które się znajdują w prefekturach składamy z Łobazewskim nową kartę gór; bo z każdą chwilą przekonywam się więcej, iż karta Lisganika, którą za najlepszą mają, jest bardzo niedokładną a nawet błędną. Tylko kontur rzek główniejszych jest dobrze podany, lecz kierunek gór i ich kształt jest bardzo fałszywie oznaczony. Pan Matkowski zrobił mi także dokładne wyobrażenie o tej okolicy i teraz dopiero pojmuję, jak się wybrać należy, chcąc dojść do góry Popadii i źródeł Łomnicy. Od dwóch dni przyrzadzamy żywności, a jutro wyruszamy do Ludwikowki, ztamtąd do Wyżkowa i dalej. Niepotrzebnie stworzyła cię moja droga, wiadomość o rozbójnikach, którą wyczytałaś w gazecie lwowskiej, słyhać tu wprawdzie o nich, bądź jednakowoż spokojną o mnie, jesteśmy w broń zaopatrzeni, a do tego dodają nam dowódcy straży pogranicznej zawsze po kilku strzelców, gdy wyruszamy w okolice, gdzie się czegoś obawiać przychodzi; w istocie jestem wielką wdzięcznością winien rządowi, który śnać polecił ułatwienie podobnych przepraw i bez rządowej pomocy, trudnoby było przebrać się przez tę dzież leśną. Często bardzo nocujemy w strzeleckich kasarniach, i dowódcy straży pogranicznej przesyłają listy nasze, dostarczają nam przewodników, a częstokroć i żywności.

LIST XI.

Wczoraj minęło dwie niedziele, jak do ciebie list ostatni pisałem, i tyleż czasu zajęła nam wyprawa na górę Popadii. Z Wyżkowa dopiero wzięliśmy konie i ludzi, i trafiliśmy tam właśnie na porę, kiedy w całym obwodzie nakazano obławę na rozbójników. Pan Matkowski dał nam swojego pisarza, który dobrał ludzi i koni, razem ze strażą pograniczną było nas 18. W inną jednak puściliśmy się stronę z tym poczem, a nie w tę, kiedy ciągnęła obława, bo to nie miło podróżować w takiej wrzawie. Kiedyśmy pytali o górę Popadię, znano ją tylko z podania. Przed dwoma laty ostatni człowiek umarł

w Wyżkowie, który był na niej z rozbójnikami. Jeden tylko owczarz znał drogę do Perchińskiego Perechreścia — niewielkiej polany, która w tej całej okolicy słynie podobnie, jak słupy Herkulesowe w podaniach starożytnych Greków. Co za tem Perechreściem leży, tego już nikt nie zna. Wytknęliśmy sobie tedy drogę na karcie i dalej w Imię Boże!

Górale nazywają tę całą okolicę od źródeł Opora, aż po Czarną Horę, źródła Cisy i Czeremoszów obadwa Czarnym Lasem. Cała ta okolica nie jest zamieszkała, porasta jednostajnym lasem i na wiele mil od granicznego działu pozostają tu ostatnie wioski Bojków i Huculów w potokach. Rachuba przestrzeni na milę ustaje tutaj, a jak we wszystkich wielkich pustyniach liczy się podróż na dnie. Nie ma tu już ani drogi, ani ścieżki, a lubo cała okolica wysoko leży, nie odkrywa się żaden widok oczom, bo pierwotne lasy zasłaniają świat wszystkim. Grzbiet granicznego działu jest tu przewodnikiem, po mchu tylko, którym drzewo obrasta, poznać gdzie Północ, a gdzie Południe, gdzie Węgry, a gdzie Polska leży, skoro się raz wstąpi pod sklepienia tych odwiecznych lasów. Koń jest tu nieodstępnym towarzyszem człowieka, i trudno bez niego byłoby przebyć te pustynie, a cały przybór podróżny jest zastosowany do tej górskiej dziczy. Welniane sakwy Bessahami zwane i toczone naczynia, hurczele, na mleko i wodę są zręcznie przypięte do jaworowej terlicy. Wojłok służy za posłanie, burka za nakrycie. Małe tylko polany na granicznym grzbiecie leżące napotyka się czasami, te otacza jednak las do koła, tak wysoki, że całą okolicę zasłania. Raz na dzień ledwo można nabrać na źródelko małe, bo źródła biją tu bardzo nisko, i dzień cały upłynąłby nieraz, chcącemu spuścić się do wody ciasnymi zworami. — Na każdej polanie pasą się konie, na każdej spoczywa człowiek, o każdej jest powieść jakaś, a wszędzie jest nieodstępnym towarzyszem człowieka, topór ostry i huczne ognisko. Roślin-

ność jest tutaj bardzo jednostajną, jak gdyby głównem jej zadaniem było, naprzód okrycie tylko tych gór zielonym płaszczem, a jak to zdaje się być głównem zadaniem roślinności, tak zadaniem człowieka jest niszczenie lasu. Góry są suche i owce darzą się tu bardzo dobrze, ztąd też niszczą lasy pasterze, ażeby jak najwięcej uzyskać paszy dla owiec. Cały ich tryb gospodarowania zdaje się być zastosowany do tego. Gdy z wiosną wypędzają owce w góry, robią sobie pasterze około każdej polany szalase, czyli tak zwane koliby z lubu, odzierając kilkadziesiąt świerków za każdą razą korę. Ile razy ogień kładą, a kładą co chwila, nie dzieje się to na wolnem miejscu, ale zawsze pod drzewem, które zaraz usycha, w ten sposób przysposabia się suche paliwo, z odartych i podpalonych drzew na następne lata. Jednak, że to jeszcze za wielka praca, ażeby suche drzewo z pnia ścinać, więc kiedy już opuszczają polanę, zarębują każde wyschłe drzewo i nakładają w niego palącego pruchna, poczem się ze środka rdzeni drzewa zupełnie wypala, a laskawy zimowy wiatr spuszcza go na ziemię. Na każdej polanie dzieje się to samo. Zazwyczaj koszą jedną polanę, a na drugiej paszą. Zanim od wsi do ostatniej polany dojdą owczarze, robi się jesień, wracają tedy powoli i spasają po drodze siano, budując znowu koliby nowe i szalase dla owiec, ogradzając się na każdej polanie jeszcze staranniej do koła całemi drzewami od niedźwiedzi i wilków, paląc niesłychane ogniska, i ścinając codziennie po kilka drzew świeżych, których pączki i spilki ogryzają owce z kozami. Koczującym tak schodzi zima, zanim znowu do wsi ściagną, a gdy się zazieleni, wyruszają znowu na polany. To może dać także niejaki wyobrażenie o obszarze tych wiosek. Wieś Zabie np. na Huculach, ma tylko 16 mil ☐ obszaru, i polany owczarskie nazywają tam stajami. Podobnie jak górale gospodarzą także po lesie Korodluby — samopas puszczone pożary i wiatry. Widzieliśmy całe góry, których drzewa na pniu

ściągł czerw — widzieliśmy całe góry w ogniu, przedzieraliśmy się przez całe okolice, gdzie orkan lasy wylał. Przeróżnym jest widok tych siwych płatów lasu, które czerw spustoszył, lub wiatr załamał — pomimo to, jednak sieje się tu wszędzie las młody, gęsty jak szczotka, i rośnie bardzo szybko i bujnie. — Przez przeciąg ośmiu dni prawie prócz Popadii, byliśmy dwa razy tylko na szczycie tak wyniosłym i odkrytym, że z niego można było przejrzeć całą okolicę. Było to raz na skalistym czubalku Wielkiego Girganu, a drugi raz na Perehińskim Perechreściu, gdzieśmy na wysoki stok siana wyleźli, zresztą szliśmy ciągle od świtu do nocy, krótko tylko spoczywając, gaszczami świerkowych lasów. Dziesięciu ludzi z toporami uprzętało drogę, a niekiedy trzeba się było nawet wszystkim chwycić do tej roboty, bo wszędzie hamowały drogę drzewa na poprzek leżące, których obejść niemożna było. Tu w środku Europy, jak w środku Afryki, można jeszcze robić nowe odkrycia, nikt tu przed nami nie był, i nie wiem, czy zaraz kto będzie. Zrazu natrafiłszy jeszcze na ślady opuszczonych szalatów i czartaki, które jak podanie niesie, zbudowano tu kiedyś, nie wiem za których już czasów, od morowej zarazy. Natrafiłszy jeszcze na pognięte stępy niedźwiedzie i wilcze jamy, dalej znikł już wszelki ślad człowieka. Dnia czwartego przed wieczorem stanęliśmy w końcu na szczycie Popadii. Konie z całym taborem zostały w ostatnich krzakach kosodrzewów na poloninie, a my obadwa z Łobazewskim, udaliśmy się jeszcze dnia tego na szczyt Popadii. Ujrawszy ją po raz pierwszy z ostatniej polany, która pod jej przyporami leży, wydał nam się cały jej szczyt zieloną łąką, były to żółte i papuże liszajce, którymi jest okryte rumowisko, luźnych płyciastych piaskowców. Rudo-szarawo wyglądały lasy kosodrzewów, ciemnozielonością odrzynała się poniżej linia świerczyny. Łobazewski puścił się przodem i wyrwawszy garść trawnika, zawołał z uniesieniem ku mnie: wierzby! wierzby alpejskie!

skie! pierwszy raz w życiu je widzę w naturze. Ten piękny zapal młodej duszy ocucił i mnie, bom bardzo stępał w tej górskiej pustyni. Przypomniały mi się puszcze litewskie i niejedno, co im towarzyszyło. Miło tedy było znowu odetchnąć w tej wysokości swobodnie i szeroko w świat.

Na południowych stokach Popadii, rozrzuciły się lasy kosodrzewu wielkimi płatami nierównymi. Na północnych jest górna granica kosodrzewu ostro odcięta i nad nią sterczy na 500 stóp nagi szczyt luźnego piaskowca. Popadia nie jest tedy tak bardzo wyniesiona nad poziom morza, ale jakże nieprzystępna! wolałbym spinać się na dziesięć turni najwyższych w Tatrach, niż przedzierać się przez gęstwinę tych czarnych lasów. Stoki tego luźnego piaskowca są okryte kobiercem drobnych wierzb alpejskich. Od północy porasta w krainie kosodrzewu kosa — olcha w jarnych zielonych kosmach, spuszcza się ona mokrzejszymi żłobami ku górnej granicy świerków. Czerwone porosty okrywają najprzód rumowiska piaskowca. Na nich porastają dopiero papuże liszajce — a po równiejszych miejscach wielkimi skorupami ściela się płucnik. Roślinność jest w ogólności bardzo jednostajna, uboga, bez kwiatu i bez tej woni polonin. Żywa zieloność kosodrzewu, gdy się przybliżysz do niego przypomina nasze polskie sosny w piaskach, a gdy odłamiesz gałązkę, przebiła przez silny aromat żywicy miły rzeźwiący kwas i zapach cytryny. — Pomiędzy płatami kosodrzewu leżą luźne rumowiska częściowo tylko mchami pokryte. Gdyśmy stanęli na samym szczycie góry odkryła się oczom naszym niezmiernie przestrzeń kraju. Wymiary powszednie znikły, sąd odstąpił nas, niewiedzieć jak ta, lub owa góra jest wysoko i jak daleko leży? a przerażającym był widok tej górskiej pustyni, którą za ledwo okiem objąć można było. Spodem spadają góry, w nagłych żłobach i wąskich rowach ku powiększonym zworom. Dolin brak tu zupełnie, wód niesłychać. Nigdzie nieprzewija się, ani smuga zieloności łąk górskich, ani potok, wszystko jest

jednostajnym lasem, jak szczotka poszyta, w którym się ściągnięte góry, iż zdają się płynąć, w istocie podobne do fal olbrzymich jakiegoś czarnego wzburzonego morza. Z powodzi tego czarnego lasu wznoszą się jak daleko zajrzeć, ostre, nagie grzbiety i czuby skaliste, jak gdyby kto ogromnych dzwonów obok siebie ponastawiał. Skapo im miejsca, zda się, że im ciasno, i że ściśnięte dołem wybiegły ku górze. Pięknym, ale zarazem przerażającym jest ten widok, bo to świat bez człowieka! Nigdzie nie widać wioski, chaty, szałas, łąki, lub ornego pola, jak oko tylko zasięgnąć mogło, nie wznosił się nawet dym samotnym słupem, ponad sklepienia tych lasów. Niedarmo nazywa lud tę pustynię „Czarnym Lasem.“ Białowiejska puszcza niknie w porównaniu tego olbrzymiego obszaru. Czerwono zachodziło słońce, chłód bez rosy powiał, jak w pustyni. Widać było na północy całe pasmo Pietrosów, suchodolskiej Giergany, pasmo gór Perehińskich — przestronnie, rozłożysto i nisko przeciągnął się ku Zachodowi dział szerokiego Beskidu ku źródłom Swicy, i zaćmił się dołem. Na wschodzie stała Bystra, wyższa jeszcze na oko od Popadii. Na Węgrach zjeżyły się góry stolicy Marmaroskiej, wierzch przy wierzchu, czub przy czubie, a wszystko nagie, lyse, ostre, dołem powiązane lasy. Na południowym Wschodzie w sinem oddaleniu, wznosił się ogromny dział, a z niego wystrzelało kilka szczytów ku górze i mimo wielkie oddalenie górowało nad całą okolicą — była to Czarna Hóra. Od kilku tysięcy lat nie zmienił się ten widok w niczem, rzekł do mnie Łobazewski, ta myśl niepokoiła nas, chcieliśmy zakłócić tę ciszę, spróbować echa, i padło kilka strzałów. — Jak się tu głos rozdaje! z dołu w górę, z góry w dół, wystrzał uderza krótko i nagle o najbliższe ściany — potem ginie w żłobach, jak gdyby szczotką przeczesal te lasy, aż znowu powraca odbity z gwałtownym trzaskiem, jak gdyby łamał wierzchołki tych drzew i głucho w końcu, poniżej na szerokich działach. Zda

się, jak gdyby omacał wszystkie góry i załomy, a gdy uciśnie, to jeszcze ciszej i samotniej w tym świecie, niżli przedtem było. Gdy zorza zgasła, uderzyła łona od naszego ogniska w górę, a lubo się blisko na oko zdawało, późno powróciliśmy do obozu i z niemałym trudem, utykając po kamieniach.

Noc była cicha, ale bardzo zimna, szronem opadły nasze burki i posłania, czasem pociągnął wiatr od Czarnej Hory i zaszumiało w kosodrzewin. Dokola nas pokładły się konie tuż przy ludziach, ognisko przygasło trochę i wszyscy usnęli. Ja niemogłem spać, bom był zanadto strudzony. Było czas rykowiska i ryk jeleni, obudził gdzieś w dali wycie wilka, a na wycie wilka odpowiadał w niezmiernem oddaleniu gdzieś pies na Węgrach przeraźliwym ujadaniem. Nie było to szczekanie zwykłe, ale nagłe, krótkie, przerwane, gwałtowne zrywanie się psa, w głosie tym słyhać było całe wyteżenie sił, jak gdyby gardziel pęknąć miał, tak przykro ucinął się głos, znać było, że w tej grze o życie chodzi. W końcu uciekł głos, lecz ledwo żem usnął, porwał się cały obóz nagle, wszystkie konie pierzchyły w bok, a krzycząc: „Medwid! Medwid,“ zerwali się górale. Czy niedźwiedź był istotnie, czy co innego popłoszyło konie, tego nie wiem. Z trudnością połapano konie rozpierzchłe po poloninie i dołożono ogniska, a niebawem też i świtać poczęło. Gdy odniało, wznosił się w wielkiem oddaleniu dym owczarski, wysokim prostym słupem nad sklepienia lasów od węgierskiej strony. Nad Czarną Horą zawisły mgły białe. Błado zaszło słońce i pożłociło jasnymi smugami szczyty gór najwyższych. Niebo było bez chmurki, a w zimnym kolorycie ściąły się dołem nieprzejrzone lasy. Cień Popadii przewiókło się na mil kilka i złamał się malowniczo po szerokich działach. Wielka cichość była w powietrzu, nigdzie głosu żyjącego stworzenia. Na samym szczycie Popadii znaleźliśmy wysoki stos kamieni, ułożony ręką ludzką w kształt mogiły, pod który, jak powieść niesie, ma spo-

czywać żona ruskiego księdza — którą porwał z domu męża Dobosz, a gdy mu powolną być niechciała, wywiódł ją na tę górę i kazał jej uciąć głowę. Od niej tedy wzięła góra nazwisko. A co nas najbardziej zajęło, że stary góral opowiadał nam tę rzecz całą, wnuk jednego z Doboszowych towarzyszy. Myślałem sobie, żeby się te różne gadki zdały Wojcickiemu, który spisał niektóre podania o Doboszu, a Łobażewski myślał o Antonim Andrzejowskim i Besserze, i żałował, że niemoże razem z nimi rzucić okiem w tę przestrzeń, okrytą tak nieznaną, tak oryginalną roślinnością. Z dwoma strzelcami zostawiłem go na górze, bo chciał jeszcze zbierać rośliny do południa, a sam spuściłem się z całym taborem do stóp Popadii, gdzie się małe znajdują źródelka, by napoić konie i zgotować obiad.

(Dokończenie nastąpi.)

Krótki rys Literatury Warszawskiej od roku 1831. do dziś dnia.

Cicho, smutno, ła po łzie płynie i tonie bez oddźwięku, i długo jeszcze nikt się na głos niezdobył; inny świat, innych sił potrzeba. Z początku cale nieledwie wyobrażenia o Literaturze dawały Zbiory powieści i romansów tłumaczonych, wydawane przez Salez. Dmochowskiego. — Nadto Muzeum domowe, Magazyn powszechny i Noworoczniki. — Ostra cenzura: nieufność i obawa, stanowiły silną tamę literaturze, jedna tylko Gazeta poranna przez niejaki czas jakotako wyobrażała ruch piśmiennictwa współczesny, aż zjawilo się Panorama Literatury krajowej i zagranicznej: pierwsze pismo wprost literackiej dążności, cel jego nader pożyteczny i moralny, aby dać poznać ziomkom pierwsze utwory literatury zagranicznej i ojczystej — zwłaszcza Poezyi. Pismo to po niedługim istnieniu skonało, a choć zarzucić można często suche przedmioty bez życia obrabiane, jednak ze pierwsze zrozumiało potrzebę kształcenia się naukowego, i ośmieliło się być pierwszym, ważne położyło zasługi. — Wkrótce przy Gazecie porannej ujrzelismy dodatek ważny dla ruchu Literackiego, Piśmiennictwo krajowe — tam korespondencya literatów — niejaka polemika — recenzje; słowem pierwsze ognisko Literatury Warszawskiej, co musiało koniecznem następstwem wywołać dalszy ruch. Jakóż roku 40 zaczął wychodzić Przegląd Warszawski,

barwy wprost literackiej, wszakże słabej krytycznej strony, jako dla początkowego pisma trudnej; — w tem piśmie występują pierwsze próby młodych poetów, zaród coraz bardziej wzmagającego się zapалу. Roku 41 ogłoszono prospekt na Bibliotekę Warszawską. Pismo to jako zbiorowe nie jest systematyczne, ani organem pewnej idei, lub dążności, tam polamanym składem sterczą różnorodnych pomysłów artykuły. Wszakże terażniejsza Redakcyja nada jej bez wątpienia jednostajniejszy kierunek historyczny, w którym się wszystkie życzenia dobrze myślących czytelników naszych jednocyż zwykły. 1842. roku zjawił się Przegląd naukowy, drugi ważny objaw ruchu umysłowego. Zamiarem jego było obeznać ogół z filozofią, z pierwszemi utworami Nauki i sztuki, słowem ugruntować stanowisko umysłowe. —

Artykuł o oczyszczaniu Włóścian, Ojciec Hilary, i wiele innych z jedną zawsze dążnością utworów, niejako świadków rwiącego się serca ku słońcu wspólnego dobra, świadczą o wytkniętym celu tego pisma — Przegląd pierwszy gorąco przemawiał za ludem, prawda jest tutaj z zapalem młodzieńczego namiętnego, lecz za skwapliwie i niedojrzale sądzącego pokolenia rozwijana. —

Prócz wspomnianych mamy pisma z wybitną cechą, lecz bez żadnej wartości — Pielgrzym przestarzałych i zbutwiałych zasad czcicieli, nieumiejący nawet z dyalektyki ich bronić, płaszczykiem wiary i pobożności, wyręcza się doskonale. Jutrzenka — Przegląd sławiański wydawany po Polsku i po Rusku, nieznalazły amatorów i wkrótce upadły. —

Odstąpiwszy na chwilę od założonego wątku, widzę się w obowiązku poświęcenia kilku słów dla Leona Łubińskiego. Gorliwy ten zwolennik literatury, nieszczęśliwie wszelkich starań — które w dzisiejszych czasach bardziej jak kiedykolwiek potrzebne. — Niechaj to skromne wyznanie będzie świadectwem, że go rozumiemy i cenimy. —

August Cieszkowski znany Autor Prologomenów historycznych. Choć wielkie położył zasługi, wszakże mało w stosunku do obudzonych nadziei. Zajmują się także rzeczami filozoficznemi, Majorkiewicz, Jezierski, Felix Zieliński, Ziemięcka, Autorka mistyczna, w wywodach niekonsekwentna, na pięknych frazach najczęściej, bez żadnego doświadczenia opierająca główną wartość swych utworów. —

W Dzieje Warszawa jest zamożniejsza. Maciejowski przy głębokiej erudycji łączy niezmordowaną wytrwałość, rzadką w naszych pisarzach zaletę. —

Odrzebywacz pamiątek narodowych Wojcicki, Gołębiowski. — Autor oświecenia Stawian, wydawca Jutrzenki Dubrawski, Autor historii miasta Wilna, pamiętników o królowej Barbarze Baliński, Tymoteusz Lipiński, Lewestam, Rychter, Szejwiec i wielu innych, mimo często skrzywionej lub źle zrozumianej dążności,

plytkiego zapatrywania, w dziedzinie historycznej mają wielkie zasługi. — Krytyka i Estetyka u nas rozwijać się nie może. — Wszakże tutaj mogliby wysokie zająć miejsca, Felix Zieliński, Tyszyński. Ostatni ma artystyczne stanowisko wsparte głęboką nanką i rozumieniem przedmiotu, Felix Zieliński zadziwia ogromem wiadomości, i choć posiada samą istotność, brak mu genialnej Twórczości. Powieściopisarstwo. — Niemożność pisania powieści historycznych wywołała w Warszawie powieściopisarzy obyczajowych i fantastycznych, (boć niemożemy nazwać historycznymi nakręcanymi baśni) — pierwsi, prócz humorysty Wilkońskiego, są prawie żadni, fantastycznych strona wyższa. — Błędne powieści Tyszyńskiego, Dziekońskiego Piosnka fantazyja, Chwiederek, Pająk, Skrzypcy, Lunatyczka (Wolskiego), Zaprzanice Tyszyńskiego mają wysoką estetyczną wartość. —

Poezya — o ile Warszawa ubogą była dawniej w poezyą, o tyle dziś zdaje się lepsze rokować nadzieje. Wyobraźniolami Poezyi jest dziś młode piśmiennictwo pełne rezygnacyi, energii, fantastycznych uroków, lecz często przeexaltowane, a prawie wszędzie z niewykończoną formą i nieuciosanym krytyką gustem. Roman Zmorski, namiętny, jedyny śpiewak fantastycznej pieśni ludu. — Lenartowicz maluje przedmiotową przeszłość, Cypryan Norwid i Ludwik Norwid z prób wiele rokuja. Włodzimierz Wolski dotąd stoi na czele, posępny, namiętny i czuły, połączył formę, ciąg organiczny, smak wykształceńszy, obawiamy się jednak, aby nie został na miejscu. Z mniej znanych Niewiarowski ma piękną formę, Morzkowski okazuje wiele talentu, zapału i myśli. Gabriela Zmichowska zaleca się piękną formą, nieskalaniem i umiarkowaniem uczuciem. —

Prawnictwo, Nauki przyrodzone — Matematyka. Wielu mają pracujących; w naukach przyrodzonych Waga powszechnie jest znany — Rybicki, Zdzitowiec, w Matematyce Frączkiewicz i inni. Gazeciarsstwo. — Wśród tak wielkich przeszkód, mamy jednak 5 Gazet — Gazeta Rządowa, Gazeta Warszawska, Gazeta Codzienna, Dziennik Krajowy, Kuryer — z tych pierwsze trzyma miejsce Gazeta Warszawska. — Dziennik Krajowy zjawił się na krótko, wybitna dążność redakcyi, sąd śmiały i trafny, zwiększały mu codziennie prenumeratorów — lecz za artykuł krytyczny przeciw Bejle w Czerwcu ogłoszony przez cenzurę zakazany został. —

Wszakże obawa zakazu jest najgroźniejsza, pozbawiająca utrzymania czasem kilku osób szczupłe swe fundusze na otworzenie pisma forsuszujących — niewspominamy o pogroźkach, te jakiegokolwiek ostre i surowe, już spowszedniały w Warszawie — przy wspomnianych okolicznościach jakiegokolwiek nisko stało Gazeciarsstwo Warszawskie, ma zawsze niepospolite zasługi. —

U.

Nowiny literackie.

Ze Lwowa. Wyszło we Lwowie zeszłego roku, kilka dziełek z zawodu gospodarczego i przemysłowego; są zaś następujące:

1. O rolnictwie i jego kombinacyach na rachubie opartych, przez Kazimierza Hr. Krasickiego. Lwów w drukarni P. Pillera 1843. Swo stron 54.

2. O wyrobie cegieł. Wiedeń w tłoczni OO. Mechitarystów 1843. w 12ce str. 38.

3. O urzędzeniu i zarządzaniu dóbr. Rys ze względu na stosunki galicyjskie, skreślony przez Kazimierza Józefa Turoskiego. Lwów w drukarni P. Pillera 1844. Swo str. 61.

4. Nauka o jedwabnictwie, przez Fr. Xaw. Kuchna, aptekarza z Przeworska. W Bochni 1843. w 12ce.

5. Uwagi Antoniego Mysłowskiego nad handlem zbożowym z Galicyi do Odessy, i nad zaprowadzeniem żeglugi parowej na Dniestrze, teraz od Koropca, a po zregulowaniu wyższej części tej rzeki, od wsi Rozwadowa, aż do Odessy. Lwów w drukarni P. Pillera dnia 1. Stycznia 1844. Swo str. 44.

6. Wiadomości o fabryce cukrowej w Tłumaczu przez An. Mysłowskiego. Lwów w drukarni P. Pillera Swo str. 20.

Cytując te dziełka, prosimy Szanowną Redakcyą Gazety i Rozmaitości Lwowskich, ażeby przychodząc w pomoc bibliografom, a wreszcie publiczności czytającej i wydawcom, zechciała udzielać króciuchne bodaj wspomnienie o każdym nowo wyszłym dziele w Galicyi; — co z małą pracą skutecznie jest w stanie. X.

ORĘDOWNIK wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata półroczna wynosi 9 Złtp. Prenumeratę na Orędownik przyjmuje tylko KSIĘGARNIA NOWA i wszystkie król. pocztamty.